

Stado – 3 – Duet

10 listopada 2010

„Nie przez niepodejmowanie czynu osiąga człowiek wolność od czynu. Nie przez porzucenie obowiązku dochodzi do doskonałości.”

Bhagawadgita III – 4

– A zatem Sid, musimy jeszcze raz przejrzeć ten scenariusz. Wiesz sam, że nie wolno nam popełnić żadnego głupiego błędu – Ronson kończył instalację dziesiątej dyskietki i w międzyczasie odwinął delikatnie z szeleszczącego przyjemnie celofanu prawdziwą Hawanę, jego ulubiony stymulator, stosowany chętnie przy podobnych akcjach finalnych. Zapalił cygaro i zaciągnął się lekko aromatycznym dymem.

– Moment. Sprawdzę tylko dwa ostatnie łącza – dobiegło zza prymitywnej zasłonki, oddzielającej sektor operacyjny od sektora sprzętowego, w istocie jednego z dwóch fragmentów małego, przepełnionego przeróżną aparaturą elektroniczną pomieszczenia piwnicznego.

Piwnica ta była częścią skromnego, częściowo zrujnowanego, jednopiętrowego domku, stojącego w cichej miejscowości podgórskiej i nadmorskiej jednocześnie, o symptomatycznej nazwie Eureka. Miasteczko to leżało prawie na przylądku Mendocine, u zachodnich wybrzeży Stanów Zjednoczonych, w okręgu San Francisco. Domek oddalony był od innych, położony samotnie w małej, zalesionej i nieuczęszczanej kotlinie. Miejsce gwarantowało spokojne, niezakłócone prowadzenie najdziwniejszych i najbardziej hałaśliwych prac, z lądowaniem eskadry śmigłowców włącznie.

Po chwili, przed ogromnym monitorem, jeszcze potężniejszego serwera, siedziało dwóch nie wyróżniających się niczym facetów po pięćdziesiątce, mocno już wyłysiałych, obaj w podniszczonych swetrach i wytartych spodniach dżinsowych.

Ronson, szczuplejszy nieco, z ogromnym cygarem w zębach, uruchamiał program scenariuszowy. Sid Caster, jego wieloletni przyjaciel jeszcze ze studiów, były uniwersytecki wykładowca języków programowania i systemów automatyki, notował coś w grubym zeszycie, raz po raz spoglądając na leżący obok kalkulator.

– No to co, lecimy? – zapytał Ronson.

– Dobrze Harvey, lecimy – Caster odłożył brulion i obaj wpatrywali się teraz w monitor, śledząc punkt po punkcie pozycje i alternatywne kombinacje ustalonego planu.

– Armia OK., mamy potwierdzenie z marines i Air Force – komentował Ronson. – Rząd standardowo, uprzejma drętwa odmowa ale mieści się w scenariuszu, stawi się na pewno ten pijaczyna, senator Malesk'y. Chłopcy z CIA wiedzą i założę się że już węszą.

– Węszą – flegmatycznie przyznał Caster.

– Dzienniki OK., będą, sieć AB w porządku, sieć CMM w trakcie, Energy Corporation załatwione. Kompanie Stalowe także, Ford, Chevrolet, Boeing również. NASA nie wiadomo. Cóż, przyjdą jeszcze na kolanach zarozumiali idioci. Związek Gospodyń Domowych i Farmerzy jak najbardziej. Fajnie. Teraz my – Ronson wystukał zakodowane polecenie i ukazała się kolejna strona.

– „Sherman” gotowy, szyna kanthalowa z bocznikami przygotowana, kanapa i gruchot skasowane, Szwajcaria OK., decyzje patentowe też, oświetlenie i ogrzewanie w gotowości bojowej, łączność sprawdzona, wyzwalacze założone, nagłośnienie działa, chłopaki przeszkoleni i aż piszczą. Świetnie stary! – Ronson klepnął Castera w ramię. – Pozostało nam skończyć z CMM, zorganizować przekąski, panienki, zaproszenia i... dajemy najlepsze, darmowe przedstawienie świata. Sid! Broadway wysiada!

– Darmowe od strony wejścia, Harvey. Uczestnictwo niestety

kosztuje. – uściślił z satysfakcją i zaciętym wyrazem twarzy, Caster.

– Cóż, Sid – Ronson wyrzucił niedopałek cygara. – Wszystko na tym świecie kosztuje i oni nam zapłacą. Za te zaszracone lata lekceważenia, wyśmiewania, opluwania, odrzucania planów badawczych, skreślenia funduszy, za ten cały biurokratyczny burdel, za wszystko. A zwłaszcza za ciebie i twoje zszarpane nerwy, za Miriam i za dom. A teraz Sid po jednym i do roboty.

Caster skwapliwie wydobył spod swetra płaską, metalową butelkę, błyskawicznie wytrzasnął skądś dwa kieliszki i momentalnie, fachowo je napełnił. Zawsze ostatnio gdy słyszał o swojej zmarłej żonie musiał się napić. Może i to był tylko pretekst, może w ten sposób sam się okłamywał. Ale jeżeli nawet, to każdy musiał przyznać, a zwłaszcza Harvey, że powód był do pewnego stopnia uzasadniony.

* * *

Miriam była kobietą dobrą ale beznadziejnie przy tym wrażliwą na ludzkie, jak zwykle podłe języki. Całe wspólne życie zamartwiała się o opinię innych, choćby największych idiotów. Rodziny, sąsiadów, a nawet całkiem obcych ludzi. Przejmowała się każdą bzdurną uwagą, każdym dwuznacznym spojrzeniem związanym z nią samą czy zwłaszcza z Casterem i jego naukowymi wyczynami na przeróżnych uczelniach. Doszło do tego, że musiał przed nią chować wszystkie swoje teksty przygotowywane do wydania, gdyż cenzurowała je ostro pod kątem układności towarzyskiej i niestety czasem po prostu niszczyła. A Caster, mimo, że spokojny z natury i ugodowy, w trakcie pisanych polemik naukowych bezpardonowo dawał upust swojej podświadomej zapewne zjadliwości i złośliwości. Powoli, systematycznie, nieświadomie, kopał żonie grób.

Środowisko dość szybko zorientowało się o przewrażliwieniu Miriam i zamiast wykłócać się z Sidem który przecież w każdej chwili mógł odpowiedzieć z nawiązką pięknym za nadobne,

uderzało raz po raz w biedną kobietę. Robili to całkiem zgrabnie i dyskretnie, zwłaszcza w okresie intensywnej współpracy z MIT. Caster w każdym razie nie domyślał się niczego do chwili, gdy po kolejnym przygnębiającym ataku hysterii, był zmuszony poprosić o pomoc znajomego psychiatrę.

Ten, nie zastanawiając się długo, umieścił Miriam w prywatnej klinice neurologicznej, gdzie też po kilku miesiącach wnikliwych badań i obserwacji, okazało się, że żona cierpi na nieuleczalną, postępującą postać schizofrenii i czegoś w rodzaju scientofobii, a raczej fobii dotyczącej wszystkich, zwłaszcza co bardziej nobliwych przedstawicieli nauki. Podobno gdyby nie zjadłość naukowych, beznadziejnie pewnych siebie adwersarzy Castera i szczególnie ich nabzdyszonych żon, choroba mogłaby się rozwinąć znacznie później lub w ogóle.

Gdy dowiedział się dokładnie o wszystkim, dopiero rzucił się w wir kłótni. Nie oszczędzał nikogo. Kpił sobie publicznie z największych sław naukowych, z najbardziej uznanych osobistości i cholernych specjalistów. Dał się we znaki wszystkim ale i sam stracił wiele. Nikt go nie chciał zatrudnić na stałe, nie chciano mu już publikować. Jakimś cudem żona, przebywająca wciąż w klinice, obserwowała rozwój sytuacji chociaż Caster nie rozmawiał z nią nigdy na te tematy. A w każdym razie zawsze uspokajał.

Tak więc biedna kobieta, nie wytrzymując już zagęszczającej się atmosfery wokół ich tak kiedyś obiecującego małżeństwa, nie wytrzymując rocznego już pobytu w porządnej skądinąd klinice, pewnej nocy utopiła się w przyszpitalnym basenie.

Caster przeżył to fatalnie. Wycofał się kompletnie z życia naukowego, zaszył w domu i zniknął z oczu wszystkim akademickim hienom. Tolerował tylko Harveya, który i tak mu cały czas pomagał jak mógł. Zresztą zawsze był w podobnej sytuacji jeśli idzie o układy uniwersyteckie. Miał jednak o tyle większe szczęście, iż był zdeklarowanym kawalerem. No i ten jego sławny w całych Stanach charakterek, ten

niezniszczalny jęzor.

* * *

Wypili więc teraz w ciszy, po czym wyłączywszy wszystkie urządzenia i oświetlenie, wyszli po koślawych, trzeszczących schodach na parter. Czekąco ich jeszcze sporo przygotowań a i odprężająca rozrywka przed wielkim finałem też była wskazana. Jak niezbędna porcja witamin.

Wykąpali się więc, przebrali w lepsze wyjściowe łachy, zamknęli dom na symboliczną zatyczkę i wsiadłszy w terenową, zakurzoną niemiłosiernie Toyotę, pojechali spokojnie do miasteczka, do znanego wszem i wobec lokalu madame Love przy Moon Avenu. Zostali tam powitani z niejakim zdziwieniem. Niespodziewany, po długotrwałej nieobecności, powrót marnotrawnych klientów zaskoczył madame całkowicie. Jednak jako niezwykle fachowo prowadząca wesolutki pensjonat, nie pytała o nic.

Rozeznawszy się wstępnie w nową, jakże obiecującą obsadę lokalu, obaj panowie udali się następnie do wynajętych gabinetów dyskusyjnych na wieczorne rozmowy ze swoimi raczej skromnie ubranymi i zdaje się równie skromnie wyposażonymi intelektualnie interlokutorkami. Nie o intelekt wszak w tych dyskusjach chodziło. Rano, po relaksujących, acz wyraźnie wyczerpujących fizycznie sporach i popisach krasomówczych, spotkali się na uzgodnionej wcześniej rozmowie z madame.

– Madame – zaczął Ronson jako wymowniejszy i bardziej obrotny.

– Znamy się już jakiś czas i nie zaprzeczy pani, że jesteśmy wzorem klientów, zwłaszcza jeśli idzie o zachowanie oraz wypłacalność, prawda?

– Chętnie przyznaję – uśmiechnęła się starszawa już i nieco zużyta madame. – A i dziewczęta zawsze mile panów wspominają.

– W takim razie – kontynuował Ronson – proponujemy pani maleńki, niezaprzeczalnie opłacalny i mało absorbujący,

przyjemny interesik.

– Słucham uprzejmie – zachęciła madame i dla podkreślenia swojego zainteresowania, ściszyła troszkę i tak już dyskretnego Rachmaninowa, sączącego się z maleńkich, rozstawionych po obu stronach wygodnej i gustownej sofy, głośników.

– Widzi pani, w początkach października planujemy z przyjacielem małe garden party na naszym terenie, na które zjadą szanowane i poważne osobistości z całego kraju – będzie tego ze czterdzieści person, w większości mężczyźni. Ponieważ w zasadzie nikogo poza panią i jej, że tak powiem, wesołym zespołem nie znamy, a musimy sobie poradzić z obsługą tych gości, prosimy o pomoc, oczywiście koszty się nie liczą.

– W granicach rozsądku. – mruknął uprzejmie Caster.

– Nie ma problemu panowie. – madame wydawała się zadowolona z propozycji. – Tylko czy w ramach planowanych atrakcji, dysponujecie odpowiednią ilością hm... miejsc do... dyskusji?

– Nieporozumienie, madame – Ronson docenił oględność madame i omal nie parsknął śmiechem. – Nam tym razem chodzi o usługi nietypowe, o żadnych takich nie ma mowy. Widzi pani, dziewczęta które wybierzemy – bo sama pani rozumie, że nie wszystkie będą nam z tej okazji odpowiadać – muszą tylko roznosić trunki, przekąski, uprzyjemniać pobyt w miarę inteligentną rozmową, jednym słowem tworzyć nastrój. Dodatkowo, ponieważ będzie być może telewizja i prasa, panienki muszą być stosownie, elegancko ubrane. No i... trzeźwe, sama pani wie?

– Ja...naturlich... wypsnęło się madame która była z pochodzenia Niemką – Tak, rozumiem i zgadzam się w pełni. Panienki wybrane przez panów są do dyspozycji i jestem przekonana, że będą z udziału w tej imprezie bardzo zadowolone.

– Jeszcze jedno madame – wtrącił rezolutnie Caster, – Ponieważ

wyduje mi się, że nie zdołamy wybrać spośród pani zespołu całego, interesującego nas składu, będziemy musieli prowadzić podobny nabór także w innych lokalach, być może w innych miastach. Proszę nie traktować tego jako wprowadzanie konkurencji na swój teren. To po prostu chwilowa i jednorazowa konieczność... dziejowa, że tak powiem.

– Dobrze powiedziane – Ronson uśmiechnął się do Castera. – W takim razie pozostaje nam ustalić szczegóły, w tym finansowe i... będziemy bardzo radzi widząc panią na czele spec ekipy w określonym czasie i miejscu.

Po niezbędnych omówieniach obaj panowie pożegnali się uprzejmie z madame lżejsi o kosztą nocnych rozmów i wpłaconą na poczet październikowego przedstawienia zaliczkę. W podobnie kulturalny i miły sposób załatwili resztę spraw: a to dostawców, kucharzy, dekoratorów, pomocników, itd.. Od tej strony byli już przygotowani całkowicie. Czekąco ich jeszcze kilka operacji bankowych w różnych miastach oraz najgorsze – sfinalizowanie wstępnych rozmów z lokalnymi przywódcami zwalczających się grup młodzieżowych różnych ras, płci, poglądów religijnych, preferencji seksualnych, gustów muzycznych i wszelkich pozostałych, demonstrowanych chętnie wyróżników, mogących być pretekstem do przywalenia różniącemu się bliźniemu – najlepiej w dziesięciu na jednego. W końcu jednostka to przeżytek, zwłaszcza wkopany w grunt i zgnojony na amen, jak mawiali bracia Marks (a może Engels?), słynni teoretycy glanowania, specjaliści od wycisku.

Rozmowy z tymi prymitywnymi bestiami były niezwykle trudne z uwagi na wyjątkową, widoczną wręcz tępotę i paranoiczną agresywność biorącą się Bóg jeden wie skąd. Jedyne co działało na ich nie prawdopodobnie niedorozwinięte mózdzki, to błyskawiczny cios cegłą między oczy lub ewentualnie większe pieniądze. Ani Ronson, ani Caster nie dysponowali podręczną cegielnią, mieli jednak jeszcze spore zasoby gotówki, tego najważniejszego argumentu we wszelkich w zasadzie sporach. W związku z czym, jeśli spodziewali się trudności to raczej do

przezwyćiężenia. Zwłazszcza, że pierwsze łody zostały już wcześniej, przy innej okazji, przełamane.

Zatrzymali się więc bez specjalnych oporów w pobliżu wielkiego, obokurnego, jednego z dwóch w miasteczku, bloku mieszkalnego. Ten ponury mołoch, sterczący wśród normalnej, ludzkiego wymiaru zabudowy jak ropiejący wyprysk na ogólnie znośnej jeszcze twarzy wczesnego syfilityka, zbudowano kiedyś nieopatrznie z inicjatywy lewicowej, a jakże, frakcji władz miejskich. Takie to właśnie pokraczne formy przybiera bezsensowna woła dogodzenia wszystkim na siłę. W imię sprawiedliwości społecznej rzecz jasna.

Kołysząc się jak chodzący, ewidentny przykład pokręconych przez lumbago, zbliżało się do nich czterech, nieokreślonej płci wyrostków. Każdy z nich memlał w ustach gumę i każdy miał na pustym zapewne wewnątrz łbie jakąś bzduzną czapkę z wielkim, podłużnym daszkiem. Lokalna, przepisowo umundurowana policja. Stanęli wreszcie jakby od niechcenia.

– No? – wystękał niewyraźnie jeden, najpewniej dowódca patrolu.

– Witam – Ronson starał się nie okazywać dezaprobaty czy lekceważenia. Również niepewność była w tych warunkach niedopuszczalną. – Szukamy Cichego.

– I co?

– Mamy sprawę.

– Nie?

– Owszem.

Dowódca, nie więcej niż siedemnastoletni przygłup, poczał intensywniej pastwić się nad wypełniającą mu otwór gębowy lepka masą. Myślał. Jeszcze nigdy nie zdarzyło się, żeby o Cichego pytało dwóch starych pierdli, elegancko ubranych mężczyzn, poruszających się po Terytorium zakurzoną,

terenówką. To nie mogli być ludzie szeryfa. Ani nikt z podobnej branży. Orientował się trochę w niektórych interesach Cichego, ale jednak nie we wszystkich. I to zdecydowało. Przyjął, że tych dwóch to znajomi Szefa i lepiej ich nie drażnić.

– Może być. Chodźcie za mną.

Ronson i Caster wysiedli powoli z auta i prowadzeni przez balansującego dziwnie biodrami małolata poszli w stronę betonowego monstrum. Wokół pętało się małe stadko przeróżnej maści psów, obszczekując ich zajadle. Pozostali trzej „funkcjonariusze” zostali przy samochodzie jako niewątpliwie konieczna ochrona pojazdu.

Cała trójka weszła w rappowy jazgot odrapanej, gustownie „osprayowanej” klatki schodowej. Zewsząd – z lewej, z prawej, z góry i jakimś cudem z dołu, z piwnic – dobiegało nieskoordynowane łupanie aktualnych hitów muzycznych. Na to wszystko, na tępe, dudnienie eksponowanych na full gitar basowych i dzikich wrzasków ulubionych „wokalistów”, nakładały się krzyki i nawoływania młodszej dzieciarni, buszującej po wszystkich piętrach i zakamarkach tej upiornej konstrukcji. Gdzieś wysoko odbywał się pewnie kolejny remont, prowadzony z użyciem górniczych, kafarowych metod walki z oporną, betonową ścianą. Obok, rozwijała się pomyślnie spektakularna kłótnia małżeńska. To mniej więcej tyle gdy chodzi o tło akustyczne. Jednak bardziej interesujące, w gruncie rzeczy dominujące, było tło zapachowe. Ronson i Caster, mimo, że w swoich długich karierach naukowych mieli do czynienia z przeróżnymi, niespotykanymi, czasem nieprzyjemnymi zapachami, stanęli odruchowo jak wryci.

W ich niezbyt przecież wrażliwe nozdrza uderzyła specyficzna mieszanina zapachu psiego moczu, smrodu gnijących w zsypie śmieci, ułatwiającego się zapewne gazu i gotowanych powszechnie kapuśniaków. Można też było wyróżnić charakterystyczny fetor milionowych koloni karaluchów.

- I tutaj mieszkają ludzie? – zdumiał się Caster.
- Tak, bo co? – prowadzący małolat nie rozumiał o co chodzi.
- Nic, tak się tylko pytam. Nie sądziłem, że zobaczę w Stanach coś takiego.

Ronson dziwił się trochę mniej. Miał kiedyś kilku stypendystów z Europy Wschodniej, z Ukrainy czy też z Bułgarii, już nie pamięta. Opowiadali czasem o życiu w swoim kraju, również o warunkach mieszkaniowych, które, jak wynikało z ich relacji, były zupełnie podobne do tych tutaj. I nie jest to wcale kwestia zamożności lokatorów. To problem wyłącznie ich mini kultury. Jeżeli konstrukcja takiego standardowego, ogólnopanstwowego w tych krajach bloku – molocha jest jaka jest, zwłaszcza pod względem akustycznym, to należałoby to uwzględniać w swoim życiu codziennym.

Gdzież tam. Ludziom, rodzinom, zasiedlającym te przemysłowe kurniki, nie przychodzi na ogół do głowy, że obok mieszkają, żyją, pracują i o fanaberio, odpoczywają inni. Panuje tam jakieś bzdurne przekonanie, że pracuje się wyłącznie w pracy, to znaczy poza miejscem zamieszkania i wyłącznie w pierwszej części dnia. A śpi się i odpoczywa w nocy. Również wyłącznie. Tak, że jeżeli znajdzie się nie daj Boże osobnik utyskujący publicznie na hałasy wytwarzane bez żadnego skrępowania przez zbydlęconych sąsiadów, traktowany jest in gremio jako wyjątkowy zboczeniec, nadający się jedynie do pieca krematoryjnego. Takie obyczaje. Ludowe.

Wjechali chroboczącą, obiecującą w każdej sekundzie swej pionowej podróży nagłe lądowanie w dolnym końcu szybu windą na ósme piętro i wreszcie po całej ceremonii z odpowiednim pukaniem, czekaniem na wynik konsultacji i demonstracyjnie nieprzychylnym oglądaniem przybyszów, znaleźli się w przeraźliwie brudnym pomieszczeniu, oblepionym wokół przeróżnymi plakatami, głównie malowniczo i zupełnie bezsensownie porozbieranych gwiazd rappo – rocka oraz wyrobów

coca – coli.

– A... witam pradziadków! – wydarł się do nich ospowaty, półnagi, dwudziestokilkuletni bykas, przekrzykując rytmiczny rumor dobiegający z sąsiedniego pokoju. – Proszę dalej.

Poznali się już wcześniej, pół roku temu, co Cichy mile wspomina do tej pory, obdarowany wówczas przez obu panów dwutysięczną pamiątką. Zaliczką na poczet mającej być teraz wykonanej pracy. Pieniądze zostały rzecz jasna już dawno rozdysponowane. Na to i owo. Tym uprzejmiej witał niespodziewanych, zwiastujących pewnie następny ekstra przychód gości.

– Spadać! – ryknął w głąb sąsiedniej nory, z której po chwili wybiegły w popłochu dwie potargane, umazane małowniczo małolaty, trzymając w rękach kolorowe, papuzie ciuchy, cały cenny dobytek osobisty. Zostali więc tylko w trójkę, w niespodziewanie, nieprzystojnie, zastanawiająco cichym lokalu Cichego.

CIĄG DALSZY NASTĄPI

Autor: golesz (golesz@wp.pl)

Nadesłano do „Wolnych Mediów”